

## *Bar „U Szeto”*

Bar „U Szeto”, pomimo, że znajdował się w samym sercu rozrywkowej dzielnicy Hongkongu, był przeznaczony tylko dla prawdziwie pijących. Nie było tam żadnej zbędnej rozrywki, muzyki w tle, czy też telewizji. Nie puszył się także biuściastymi kelnerkami w krótkich spódniczkach, tarczami do gry w strzałki, czy też automatami do flippera. Oferował tylko alkohol w umiarkowanych cenach, który podawało zza długiego baru trzech znudzonych kelnerów lub sam Szeto.

Kelnerzy pracowali tutaj od samego początku, czyli od 20 lat. Nabyli już zinstytucjonalizowanego wyglądu. Przyczyny tak długiego stażu nie były jasne, gdyż godziny pracy były długie, a płaca skromna. Można tylko podejrzewać, że miało to coś wspólnego z ich osobistymi relacjami z Szeto – pracodawcą. Podczas gdy układ Szeto z pracownikami mógł być skomplikowany, to jego stosunek do klientów był prosty. Uważał, że to czy są radośni, czy przygnębieni jest ich sprawą. Nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Do niego należała jedynie organizacja miejsca, gdzie ludzie mogli pić bez jakichkolwiek przeszkód. Jeśli czerpali przyjemność z picia, to niech im na zdrowie. Jeśli, z drugiej strony, alkohol sprawiał, że stawali się introspektywni, to niezależnie od tego jakie

horrory przeżywali pod jego wpływem, czy to w postaci samoobjawienia czy też prawdy, wstydu czy żalu, nie interesowało go to.

Klienci, płacąc dobre pieniądze, mieli prawo do własnych wyborów. W rezultacie, bar miał stałą klientelę naukowców, artystów, ludzi ze środowiska mediów czy mniej zasobnych obcokrajowców. W barze „U Szeto” były przestrzegane bez wyjątku tylko dwie zasady. Pierwsza, wywieszona w widocznym miejscu na zewnątrz wejściowych drzwi głosiła, że kobiety bez towarzystwa nie będą obsługiwane. Wywoływało to czasem niezadowolenie wśród feministek, ale zasada ta była wymierzona przeciwko tym królowym nocy, które w nadmiernej liczbie regularnie zalewały dzielnicę.

Druga zasada mówiła, że bar zawsze jest czynny dopóki ostatni gość nie wyjdzie lub nie straci przytomności. W ostatnim przypadku kelnerzy przenosili takiego klienta na zaplecze do magazynku, przystosowanego na takie okazje, odcinając go od baru obitymi stałą drzwiami. Pomieszczenie nie miało światła i stały w nim tylko dwie proste drewniane prycze, przymocowane do podłogi. Małe, zakratowane okienko wentylacyjne, umieszczone wysoko na ścianie, oferowało słabą poświatę w księżycowe noce. W innym przypadku pokój pozostawał w całkowitej ciemności.

Prycze były ustawione w ten sposób, że z żadnej nie można było dostać się do okienka. Kolejnym niezwykłym elementem w magazynku było to, że solidne drzwi wiodące na ulicę miały dwie klamki. Ale żadna z nich nie znajdowała się w standardowym miejscu. Jedna była zamontowana około 30 centymetrów od podłogi, a druga w podobnej odległości, ale od góry drzwi. Aby otworzyć należało obie przekręcić jednocześnie. Wymyślił to Szeto. Uważał, że zamknięcie w dziwnym, ciemnym pokoju, to właściwa kara dla każdego kto pije w nadmiarze. Jeśli osoba była zbyt zamroczone, aby otworzyć drzwi, to zasługiwała na to, aby

spędzić tam noc, dopóki światło dzienne nie ujawniło pozycji klamek. Z drugiej strony, jeśli gość był w stanie w ciemności znaleźć wyjście, to zgodnie z rozumowaniem Szeto, był też na tyle trzeźwy by trafić z powrotem do domu. Jednak w każdym przypadku opuszczenie przybytku odbywało się w sposób niegodny, gdyż oznaczało nieprzyjemną nawigację przez tylną uliczkę zastawioną przepelnionymi kosztami na śmieci, rozrzuconymi pojemnikami, zamieszkałą przez kolonię zdziczałych kotów.

Szeto spojrział na ostatniego klienta przy barze i wiedział, że będzie to dla niego długa noc. A że minęła już druga w nocy, dał umówiony sygnał kelnerom, że mogą iść. Gość o imieniu Yuen przychodził tu regularnie – zaniedbany mężczyzna w pogniecionej, szarej sztruksowej marynarce i czerwonej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem. Był korespondentem amerykańskiej agencji informacyjnej w Azji Południowo-Wschodniej.

Szeto wiedział, co działo się w biednej głowie mężczyzny. Morderstwo jednej z jego przyjaciółek, pięknej i słynnej tancerki do towarzystwa. Ostatnio mówiły o tym wszystkie gazety. Yuen wielokrotnie przyprowadzał tę kobietę do baru. Szeto widział wiele komercyjnych relacji między tancerkami i ich klientami. Ale ta do takich nie należała. Było w niej coś głębszego i bardziej osobistego, o czym nie mówiły sensacyjne artykuły prasowe o jej życiu.

Szeto ocenił, że wcześniej czy później dowie się wszystkiego, gdyż Yuen będzie chciał to wyrzucić z siebie. Właściwa chwila jeszcze nie nadeszła, a Szeto wiedział z doświadczenia, że procesu tego nie należy przyspieszać. Zajął się zatem ostrzeniem noży do rzucania, które trzymał pod barem. To było jego częste zajęcie, kiedy następowała cisza w interesie. Szeto sam stanowił zagadkę. Wiadomo było, że wiele podróżował, był odcytany i w miarę swobodnie posługiwał się kilkoma językami. Co jakiś czas rzu-

cał uwagę, która wskazywała na niezwykle zrozumienie natury ludzkiej, ale w zasadzie niewiele mówił. Według niego, praca barmana wymagała raczej posiadania ucha skłonnego do słuchania niż aktywnego języka. Z wyglądu zaś łatwo można było go uznać za naukowca, dyplomatę czy patriarchę w jakiejś starej, dobrze prosperującej rodzinnej firmie. Miał zbyt wiele pewności siebie jak na barmana. Poruszał się także z niezwykłą płynnością i gracją. Wyglądał na wczesną czterdziestkę, pomimo łysiejącego czubka głowy. A tak naprawdę, to był już w połowie pięćdziesiątki. Smukły, żyłasty i średniego wzrostu. Jego ciemne, bystre oczy rzadko kiedy czegoś nie dostrzegły. Wysokie kości policzkowe i mały, ostry nos dodatkowo je podkreślały. Mogło się wydawać, że ma ostry charakter, gdyby nie pewna delikatność wokół ust, która nadawała przyjaznej łagodności reszcie twarzy.

Wdzięk niespiesznych ruchów także zmiękczał ogólne wrażenie. Znakiem szczególnym Szeto był nóż, który nosił w pochwie przymocowanej do pasa, jak kucharz w japońskiej restauracji teppanyaki. Używał go do krojenia limonek i cytryn. Czynności te wykonywał tak szybko i z taką zręcznością, że krążyły o nim różne historie. Według jednej z nich był kiedyś ochroniarzem jakiegoś milionera, ponieważ trafił nożem do ruchomego celu z odległości 30 kroków. Zgodnie z inną, rzucał nożami w cyrku, ale przeszedł na emeryturę, po tym jak przez przypadek śmiertelnie trafił swoją partnerkę. Jeszcze inna utrzymywała, że był żeglarzem, który stał się barmanem, aby nie zwracać na siebie uwagi przemysłowców i innych, którzy chętnie by go zwerbowali do niegodziwych przedsięwzięć. Szeto ani nie zaprzeczał, ani nie potwierdzał tych opowieści. Za każdym razem, kiedy pojawiała się kolejna, po prostu śmiał się i mówił:

– Jestem zwykłym barmanem, który po prostu lubi noże.

Jaka by prawda o nim nie była, to na pewno miał dobrą pozycję w dzielnicy, gdyż żaden z gangów, triad, ani nawet

policjanci nie podchodzili do niego, aby wymusić opłatę za ochronę.

– Jeszcze jeden na drogę – powiedział Yuen, trzymając pustą szklankę – I jeden dla Ciebie na mój rachunek.

Brzmiał niesamowicie przytomnie, pomimo że pił nieprzerwanie od kilku godzin. Akcent w jego angielskim wskazywał, że pochodził z Malezji. Łatwo mógł pozbyć się go przez lata pozostawania na obczyźnie. Ale był do niego przewrotnie przywiązany, gdyż jeden z ulubionych nauczycieli w szkole średniej powiedział mu kiedyś, że kiedy posługujemy się obcym językiem z akcentem jest to znak patriotyzmu i identyfikacji własnych korzeni.

Yuen był na początku trzydziestki. Miał szerokie, inteligentne czoło. Oczy były smutne i zadumane, jakby były świadkiem zbyt wielu tragedii na dużą skalę. Nos, choć zbyt okazały w porównaniu do eleganckiego wąsika i ust, dodatkowo lekko skrzywiony, miał jednak swój urok. Biorąc wszystko pod uwagę, Yuen wyglądał całkiem atrakcyjnie. Roztaczał wokół siebie aurę tej bezsilnej melancholii, której niektóre kobiety nie mogły się oprzeć.

– Wiesz, oprócz przyjezdnych Amerykanów, jesteś jedynym klientem, który pije burbona – powiedział Szeto, aby nawiązać rozmowę, gdyż wiedział, że i tak, wcześniej, czy później ona nastąpi.

– To jest jeden z tych nawyków, które nabyłem w Ameryce – odpowiedział Yuen.

Szeto podał mu drinka, a sam wziął butelkę wody mineralnej. Nigdy nie pił alkoholu w pracy.

– W kraju, gdzie pogoń za szczęściem jest zagwarantowana w konstytucji, na pewno wszyscy są zbyt szczęśliwi, aby nabrać złych nawyków – zauważył.

– To zależy jak zdefiniujesz szczęście. Jeśli jako szczęście uznamy bogactwo i sławę, czy popularność lub odnoszenie sukcesów, jazdę cadillakiem, czy też ślub z córką szefa, to myślę,

że jest tam wiele możliwości. Ale my nie jesteśmy tacy. Niektórzy z nas nie są w stanie zmienić tego, że są stworzeniami Wschodu – potrzebują regularnej dawki cierpienia, które przypomina nam o niezmienności rzeczy, losu, karmy i przeznaczenia. Tylko wówczas jesteśmy w stanie dostrzec przyczynę i skutek i uświadomić sobie, że każdy uczynek wiąże się z czymś przerażającym i głębokim.

– Masz dzisiaj jakiś filozoficzny nastrój, czy coś cię trapi? Nie myślisz chyba o tej swojej biednej przyjaciółce – tancerce?

– Tak, szczególnie kiedy piszą o niej tyle bzdur.

– Była piękną kobietą. Miała też dużo klasy. Co za strata!

– Wiesz, zabiłem ją.

– Nie! Żartujesz?!!!

Szeto spojrział uważnie na Yuena, aby ocenić czy rzeczywiście przyznawał się do winy, czy też burbon sprawił, że po prostu zaczął mówić. Kiedy uznał, że to ta druga opcja kontynuował:

– Policja powiedziała, że została zabita przez zazdrosnego kochanka, jakiegoś bankiera, co miał żonę i trójkę dzieci, a który później wyskoczył z okna na trzydziestym czwartym piętrze. Jak widać ludzie z wyższych sfer nie różnią się od pozostałych z nas. Zielonooki potwór tak samo ich dosięga.

– On mógł być wykonawcą, ale ja jestem prawdziwym mordercą. Zabiłem ją, jest to tak samo pewne, jak to, że teraz siedzę tutaj przed tobą. Nasze losy zostały ze sobą powiązane w tragiczny sposób. Żadne z nas nie mogło od tego uciec. Przyczyniłem się do tego kim się stała, Jade Lotus, gwiazda West Chamber, najbardziej sławna tancerka w całym Hongkongu.

Szeto wiedział, że za chwilę rozpocznie się katharsis. To, co miał teraz robić, to słuchać. Pomimo, że często występował w tej roli, niektóre opowieści nadal go zadziwiały. Uważał, że barmani cieszyli się uprzywilejowaną pozycją jak kaznodzieje, ponieważ co jakiś czas była im dana szan-

sa na wgląd w najbardziej ciemne zakamarki dusz ludzkich. Dawno już doszedł do wniosku, że ludzie w rzeczywistości są jak obrazy Rembrandta. Pomimo, że część skąpana jest w świetle, zawsze pozostają fragmenty okryte cieniem. To właśnie te światłocienie przyciągały zainteresowanie.

– Kiedy spotkałem ją po raz pierwszy była wówczas zwykłą Ching Ching - dziewczyną, która mieszkała gdzieś dalej przy tej samej ulicy na Penangu – zaczął Yuen – Miała wtedy szesnaście lat i była kilka lat młodsza ode mnie. Nasi ojcowie byli urzędnikami w brytyjskiej firmie transportowej i obaj ledwo wiąźali koniec z końcem. Nasze rodziny mieszkały w walących się mieszkaniach na obu końcach ulicy w niszczonej części miasta. O ile ja całkiem dobrze dawałem sobie radę w szkole, gdyż wcześniej zdałem sobie sprawę z tego, że jedynie dobre wykształcenie dawało nadzieję na inny los niż ojca, Ching-Ching walczyła o przetrwanie. Była najstarszą z czterech dziewcząt, więc oczywiście jej ojciec martwił się. Jeśli nie osiągnęłaby sukcesu, to w żaden sposób nie byłaby w stanie wspomóc go w wychowaniu pozostałych trzech siostr. A zatem ojciec Ching Ching zapytał mojego czy nie mógłbym pomagać jej w nauce w zamian za jakieś kieszonkowe. Ze względu na to, że byli kolegami, mój ojciec zgodził się, a ja ze swojej strony też byłem zadowolony, że będę miał pieniądze. Tak właśnie się poznaliśmy.

W momencie, gdy zostaliśmy sobie przedstawieni przypomniałem sobie, że już ją widziałem w sąsiedztwie. Ale poprzednio nie zwracałem na nią uwagi, gdyż w jej wyglądzie była jakaś sprzeczność. Była drobna i szczupła, z ciałem jeszcze nierozwiniętym jak u dziecka, które nie jest nastolatką. Dopiero gdy spojrzałem na nią z bliska zauważyłem niesamowitą dojrzałość na twarzy. Miała doskonale ukształtowany nos, ostry podbródek i małe usta, które zawsze sprawiały wrażenie, że zaraz się uśmiechną. Zęby miała tak uderzająco białe i perfekcyjnie równe, że trzeba było

spojrzeć dwukrotnie, by przekonać się, że są prawdziwe. W twarzy dominowały duże, żywe oczy. Zdawało się, że jest piękną laleczką, z głową nieproporcjonalną w stosunku do reszty ciała.

– Nie było nic nieproporcjonalnego kiedy przysła tutaj! Wyglądała sensacyjnie!

– Ta metamorfoza nastąpiła później – stwierdził Yuen – Kiedy zacząłem udzielać jej korepetycji nie była dla mnie atrakcyjna. Traktowałem ją jako środek do zarobienia niewielkich pieniędzy na swoje wydatki. Wkrótce jednak zdałem sobie sprawę, że była błyskotliwa jak nowy miedziak. Nie dawała sobie rady w szkole tylko dlatego, że nie wkładała w to serca. Cały czas miała głowę w chmurach, marząc o bogactwie i romansie, noszeniu pięknych ubrań i jeździe limuzyną, życiu w jakimś drogim domu w Paryżu czy w Nowym Jorku, że służbę na zawołanie. Myślę, że czuła, że zasługuje na więcej niż mieszkanie w za-grzybionym mieszkaniu, przy ulicy pełnej dziur i obwoźnych straganów z jedzeniem. Staralem się, oprócz nauki, sprowadzać ją także na ziemię. Przez jakiś czas to działało. Wyniki w szkole uległy poprawie. Po około półtora roku, widząc, że tak dobrze ze sobą się dogadujemy, zaczęto wypowiadać mniej subtelne uwagi jaką ładną parę moglibyśmy stworzyć pewnego dnia. Początkowo komentarze te złościły mnie i zawstydzaly. Ale cóż miałem robić? Udzielanie korepetycji oznaczało kieszonkowe.

Aż pewnego dnia zauważyłem, że przestała już być tą wychudzoną dziewczynką z dużą głową. Urosła i rozwinęła się, a jej ciało nabrało przyjemnych zaokrągleń. Uderzyło mnie to, kiedy poczułem, że się w niej zakochałem. Było to najdziwniejsze uczucie. Przypuszczam, że musiało być podobne do doświadczenia Saula z Tarsu na drodze do Damaszku albo Buddy, kiedy siedział pod drzewem bodhi.

Ching-Ching musiała dojść do podobnych wniosków,



gdyż nagle zaczęliśmy zupełnie inaczej zachowywać się w stosunku do siebie. Ciągle pamiętam jak patrzyła na mnie z uwielbieniem w swoich dużych, brązowych oczach i jak rozumieliśmy się bez słów. Kolejny rok był najszczęśliwszy w moim życiu. W jej także, tak przypuszczam. Staliśmy się nierozłączni po szkole, a kiedy zostawialiśmy sami tylko ze sobą, co zdarzało się rzadko w naszych zatłoczonych mieszkaniach, udawało się nam skraść pocałunek, czy nawet objąć się. Pewnie mogliśmy pójść dalej, ale w tamtych czasach szanujące się chińskie dziewczęta bardzo pilnowały, aby utrzymać dziewictwo do zamążpójścia. Więc musieliśmy opanować burzącą się krew.

Spędzaliśmy wiele czasu na rozmowach o życiu, jakie będziemy wiedli po ślubie – nasze rodziny były przekonane, że pewnego dnia to nastąpi. Byłem tak odurzony miłością, że zacząłem dzielić jej fantastyczne marzenia. Planowaliśmy, że na jednym z liniowców pasażerskich, które czasem dobiegały do naszej wyspy, opłyniemy świat dookoła. Mówiliśmy o tym, że znajdziemy sobie miejsce na wzgórzu Penang, gdzie mieszkają bogaci i damy naszym dzieciom najlepsze wykształcenie dostępne za pieniądze. Budowaliśmy wiele zamków na piasku, pomimo że nasze rodziny ledwo miały na przeżycie.

Podczas ostatniego roku nauki w szkole czułem, że chciałem zostać dziennikarzem. Dyrektor przekonał mnie, abym ubiegał się o stypendia, dostępne na uniwersytetach amerykańskich, ponieważ lokalne uczelnie nie oferowały jeszcze dziennikarstwa. Zrobiłem to, mając mieszane uczucia. Z jednej strony pragnąłem zdobyć wyższe wykształcenie, a z drugiej – miałem obawy przed tworzeniem sobie złudnych nadziei. Nie wiedziałem wystarczająco dużo o uczelniach amerykańskich, aby ocenić czy mam jakąkolwiek szansę. Dodatkowo drżałem na myśl